

Tylko do użytku niekomercyjnego

**Damon Runyon**  
**Gończe psy z Broadwayu**  
**(Bloodhounds of Broadway)**

Tuż przed pewnym porankiem, koło czterech bim bom, stoję pod restauracją Mindiego na Broadwayu razem z gościem, którego nazywają Lament<sup>1</sup>, ponieważ nie potrafi zapomnieć o tym, jak wygrywa bardzo duży zakład w tym samym roku, w którym młoda klacz o imieniu Lament zgarnia całą pulę podczas derby Kentucky. Być może jest to jedyny bardzo duży zakład, jaki facet wygrywa w życiu, i dlatego cierpi na uporczywość pamięci.

Jak Lament naprawdę się nazywa, tego nie wiem, ale ja do imion nie przywiązuję uwagi — a już zwłaszcza na Broadwayu, gdzie ludzie z samej zasady przedstawiają ci się inaczej, niż im to stoi w uczciwych papierach.

W rzeczy sumie, Lament może sobie nosić dowolne inne imię i też mu będzie na miarę szyte. Jest gruby i strasznie miele ozorem, chociaż gada właściwie tylko o koniach i jak to wygrywa o włos z końskiego nosa dzień wcześniej w Belmont, czy gdzie akurat bomba idzie w górę.

Znam Lamenta od wielu lat i w ciągu tych wielu lat on wygrywa łącznie o dziesięć tysięcy włosów. Zawsze są to włosy z końskiego nosa, a nie na przykład z ogona, aczkolwiek musicie zrozumieć, że wstawiam tutaj dosłowną cytata z Lamenta, który mówi gwarą miłośników gonitw.

Naprawdę nie wiem, z czego Lament żyje poza stawianiem na wyścigach. Cokolwiek to jest, daje niezły profit, ponieważ Lament stale stale bywa w okolicy i jest dobrze ubrany a grube cygara sterczą mu z kieszeni kamizelki.

Koło czwartego bim bom na Broadwayu zazwyczaj panuje wielka cisza, ponieważ o tak wczesnej godzinie ludzie siedzą w szemrankach<sup>2</sup> i klubach nocnych. Tego przedświcia okoliczności przyrody również tak się układają, jeśli nie liczyć kolesia o imieniu

---

<sup>1</sup> Oryg. Regret

<sup>2</sup> Oryg. Speakeasy. Chodzo nielegalny bar w czasach prohibicji, chociaż termin jest w języku angielskim starszy o dobre kilkadziesiąt lat niż prohibicja i pierwotnie oznaczał lokal serwujący znacznie tańszy alkohol bez zezwolenia na sprzedaż. Przełożyłem termin neologizmem szemranka, zarówno od szemranego charakteru tych lokali jak i od źródłostowu związanego z koniecznością utrzymywania przez klientów ciszy w środku i ciszy o istnieniu baru, żeby policja się o nielegalnym wyszynku nie dowiedziała.

Oślizły Marvin<sup>3</sup>, który wydziera się na młodą łanię, albowiem ta nie chce wsiąść do taksówki i jechać z nim na mieszkanie. Rzecz jasna, Lament i ja nie przesadzamy ze zwracaniem uwagi na podobną scenkę. No, może Lament stwierdza, że ta łania zdradza chyba ciut więcej rozsądku, niż można by oczekiwać po luźnej łani na Broadwayu o czterech bim bom nad ranem. Każdy przecież wie, że łania idąca z Oślizłym Marvinem na mieszkanie albo nie posiada uncji mózgowia albo sama tego chce.

Jak już omawiamy Oślizłego Marvina, jest to przeobrzydliwa kanalia. Bardzo wysoko postawiony, uwielbia spędzać czas w klubach nocnych i siedzi na wielkiej kupie zacieru, którą dziedziczy po tatusiu robiącym w biznesie kolejowym i innych takich. Jako że Marvin ma wspomnianą kupę zacieru, po prostu zawsze zachowuje się wulgarnie i prostacko. Młode łanie, które pracują w klubach nocnych, muszą znosić jego chamskie zagrywki i lepkie komentarze, bo jako klient jest wyśmienity.

Oślizły Marvin zazwyczaj nosi strój wieczorowy i pojawia się na mieście dopiero po zmroku. Ma około pięćdziesiątki i paskudną gębę pełną cętek i pryszczycy, ale, oczywista, człowiek przy tej ilości zacieru nie musi być bardzo przystojny, toteż wszędzie na Broadwayu witają go z otwartymi ramionami. Tak osobiście mówiąc, nie mam ochoty pchać jednego wózka z człowiekiem przekroju Oślizłego Marvina, chociaż za mojego życia tysiąc i więcej Oślizłych Marwinów wpada mi w pamięć na Broadwayu: ten gatunek stamtąd nie zniknie dopóki będą istnieć tatusiowie robiący zacier w biznesie kolejowym i przekazujący potomstwu pałeczkę.

I cóż dodać, koniec końców Oślizły Marvin pakuje łanię do taksówki, odjeżdżają, a na Broadway wraca cisza. Stoimy wraz z Lamentem rozmawiając o tym, owym i jeszcze czymś nowym, kiedy znienacka pojawia się dziwnie wyglądający osobnik, który prowadzi dwa dziwnie wyglądające psy. Facet jest tak chudy, że musi ważyć ze dwa funty mniej niż snopek zboża. Ma długi nos i smutną minę, a do tego nosi oklapnięty kapelusz z czarnego filcu, flanelową koszulę, workowate sztruksy i tak zwany tyłkoskop czyli płaszcz z tkaniny, przez którą można gołym okiem zobaczyć tylną kieszeni spodni a nawet więcej<sup>4</sup>.

Powiem tak: za moich dni widuję na Broadwayu wielu dziwnie wyglądających ludzi, ale ten wygląda dziwniej niż wszyscy pozostali, a jego psy wyglądają jeszcze dziwniej, niż on sam: mają wielgachne łby, uszy rozmiaru dwóch prześcieradeł i policzki obwisłe jak, nie przymierzając, krupier od faraona w ubiegłym stuleciu. Na dodatek ich pyski są pomarszczone, a oczy okrągłe i tak smutne, że można dostać wrażenia, że zaraz wybuchną płaczem.

Maści te psy są jakby czarnej i podpalanej. Ogony mają długie, a żebra wręcz sterczą im spod cienkiej skóry. Od razu widać, że z paru hamburgerów zrobią miły użytek, podobnie zresztą jak ich właściciel. Jednak to samo można powiedzieć ostatnimi czasy na temat wielu ludzi z Broadwayu, o psach nawet nie wspominając.

---

<sup>3</sup> Orig. Marvin Clay - dosłownie gliniasty Marvin, ze wszystkimi konotacjami brudu, błota i cielesności, co świetnie łączy się z kontekstem. Postać ta jest bowiem obleśnym typem seksualnego drapieżcy, łowiącym naiwne lub zdesperowane kobiety na pieniądze.

<sup>4</sup> Oryg.: seemore coat, which is a coat that lets you see more hip pockets than coat.

I oczywiście Lament z miejsca zaczyna interesować się psami. Jako że kocha wszystkie zwierzęta wszystkich rodzajów, musi zatrzymać dziwnego człowieka i zasypać go pytaniami, co to za rasa itepe. Ja też szybko nadstawiam uszu, bo chociaż mnóstwo łydkogryzów widzę w swoim życiu, to takich jeszcze nigdy.

— Oni są posokowce — odpowiada smutno wyglądający facet bardzo smutnym głosem; akcent ma dokładnie taki, jakim obowiązkowo mówi się na głębokim Południu — Oni są gończe psy z Georgii do tropienia ludzi.

Lament i ja wiemy, rzecz jasna, czym są gończe psy, bo przecież jako smarkacze oglądamy film *Chata wuja Toma*, w którym takie bestie ścigają Elizę po zamrożonej rzece. Ale też obaj pierwszy raz spotykamy gończego posokowca z Georgii twarzą w pysk i to na Broadwayu. Dlatego ucinamy sobie długą pogawędkę z nieznajomym i kiedy okazuje się, że jego historia jest równie smutna, co facjata, zaczynamy mu współczuć.

Potem sprawy wybierają taki obrót, że zanim się orientujemy, on sam i posokowce siedzą u Mindiego wcinając duże steki, chociaż Mindy podnosi na nas straszny pisk, że wprowadzamy do środka psy i pyta, czy aby nie bierzemy jego lokalu za jakiś inny geszeft. Kiedy Lament zaczyna tłumaczyć co i jak, Mindy stwierdza dobrze sprawy nie ma, ale od tej pory wszystkie kuce szetlandzkie zostają na zewnątrz.

Wracając do nieznajomego o smutnym wyglądzie, facet nazywa się John Wydębiacz<sup>5</sup> i pochodzi z jakiegoś miasteczka w Georgii, gdzie jego wuj jest nadszeryfem. Gończe psy wabią się Niuch<sup>6</sup> i Wtrop i są od szczeniaka przyuczane do tropienia gagatków, którzy dają dyla z miejscowego kojca, złych czarnuchów i innych takich. Kiedy steki Mindiego już rozsypują żołądek Johna Wydębiacza i ten zaczyna być rozmowny, widać że albo jest łgarzem pierwsza klasa albo jego psy są najlepszymi tropicielami ludzi od założenia świata.

Cóż, na mój wzrok pieski z pewnością mają wilczy apetyt, gdyż po zjedzeniu sześciu dużych polędwic na łeb, robotniczej porcji gulaszu, mnóstwa mac, które zostały Mindiemu po żydowskich świętach i wielu innych kąsków i okrawków leżą płask na podłodze nakrywszy mordki uszami i chrapią tak głośno, że w lokalu nie słychać własnych myśli.

Jak John Wydębiacz i jego psy gończe lądują w Nowym Jorku to rzeczywiście niezła historia. O ile dobrze rozumiem, kiedy Niuch i Wtrop ścigają jakiegoś złego czarnucha,

---

<sup>5</sup> John Wangle – w języku angielskim czasownik to wangle oznacza wycygnąć coś, wydębić coś, załatwić sobie coś w sprytny sposób. Wahałem się, czy nie przełożyć imienia tej postaci jako John Sęp od czasownika sępić, bądź iść czy prosić na sępa. Sępienie jest jednak zwykle jawne i natrętne, a John Wangle tak nie działa — już bardziej pasowałoby subtelniejsze imię John Sierotka, biorąc pod uwagę jego trudną sytuację w Nowym Jorku i dość nieszkodliwą metodę działania. Jeszcze inna możliwość to John Nacciągacz a więc ktoś, kto jak w opowiadaniu naciąga znienacka i sprytnie naciąga innych (choćby na posiłek).

<sup>6</sup> Oryg. Nip and Tuck. Gra słów nie do oddania w języku polskim. Nip to szczypać albo gryźć a tuck wcinąć np. mięso. W dodatku tucked to pomarszczony (o tkaninie) co pasuje do wyglądu tych psów. Problem w tym, że istnieje też idiom nip and tuck, który można przetłumaczyć na polski jako iść łeb w łeb i ma to głęboki sens w przypadku dwóch psów gończych idących zgodnie tropem wskazanej ofiary. Moje Niuch i Wtrop są pomyślane jako sekwencja bardzo bliskich czasowo komend zapoczątkowujących tropienie.

do starego miasteczka w Georgii zjeżdża pewien nowojorczyk i wpada na genialny pomysł, żeby Wydębiacza i jego psy wkręcić do przemysłu filmowego: niech tropią czarne charaktery na ekranie. Ale kiedy wszyscy razem przyjeżdżają do Nowego Jorku, okazuje się że lokalni filmowcy mają ciut inne pomysły jak ścigać czarne charaktery na ekranach.. Nowojorczykowi kończy się forsa i wtedy facet się ulatnia, a John i jego psy utykają w mieście na dobre.

Właśnie tak i właśnie dlatego John Wydębiacz, Niuch i Wtrop są gdzie są. Cała trójka mieszka razem w czynszówce na czterdziestej dziewiątej zachodniej i bieduje, ponieważ John nie wie, jak wrócić do Georgii inaczej niż piechotą, a powiadają, że spaceru na południe od Roanoke raczej nie służą zdrowiu.

Kiedy go pytam, dlaczego nie napisze do wuja nadszeryfa w Georgii, odpowiada, że zasadniczo z dwóch powodów: on sam nie umie pisać, a jego wuj nie umie czytać.

No więc wtedy go pytam, dlaczego nie sprzeda psów. Twierdzi, że rynek na posokowce w Nowym Jorku jest płytki, a ponadto jeśli wróci do Georgii bez Niucha i Wtrope, wuj uszy mu powyrywa. Poza tym kocha Niucha i Wtrope najszczerzym sercem i chyba tylko ta miłość powstrzymuje go przed zjedzeniem jednego, drugiego a może i obydwu przyjaciół naraz w zeszłym tygodniu, kiedy głód robi się w nim już strasznie natarczywy.

I powiem wam — jak żyję Lament nie jest żadną historią bardziej zainteresowany, niż Johnem Wydębiaczem i jego psami. Ja natomiast zaczynam mieć ich mocno dosyć, bo Niuch w końcu przestaje śnić i bierze się za przeżuwanie mojej nogi, myląc ją zapewne z kolejną porcją steka. Kiedy więc kopię go w pysk, John Wydębiacz patrzy na mnie ze zgrozą, a Lament dodaje, że tylko prawdziwy podlec może być okrutny dla zwierząt, które z natury niczego nie rozumieją.

Najwyraźniej John Wydębiacz i jego zwierzęta jednak co nieco rozumieją, skoro robią sobie spacer wzdłuż restauracji Mindiego każdego następnego ranka koło czterech bim bom. Lament zawsze jest wtedy na posterunku i gotów nakarmić głodne trio, chociaż musi wynosić żarcie na chodnik, bo Mindy już nie pozwala wpuszczać psów do swojego lokalu. Nie dziwota, że Niuch i Wtrop mocno zaprzyjaźniają się z Lamentem, a jeszcze mocniej robi to Wydębiacz, który elegancko przybiera na wadze wespół z podopiecznymi.

Ale nadchodzi owa godzina, w której Lament nie pojawia się przed lokalem Mindiego kilka świtów pod rząd. Całkiem prawdopodobnie wygrywa grzeczną sumkę na konikach, ponieważ kupuje sobie smoking spod igły i zaczyna krążyć w pobliżu klubów nocnych. Na celownik bierze zwłaszcza *Klub Trzy Setki* panny Missouri Martin, gdzie bawi wiele pięknych i młodych łań uprawiających sztukę tańca w stroju tapicerskim: drobne akcenty płótna, mnóstwo miękkiej skóry<sup>7</sup>. Lament uwielbia takie widoki, każdy to wie.

Dodam jeszcze, że według różnych pogłosek Lament nader mocno zaprzyjaźnia się z łanią o imieniu Lovey Lou, która pracuje w klubie *Trzy Setki*. Na jej tle ma jakieś spięcie z Oślizłym Marvinem i podobno daje tamtemu w cyferblat, z czego wnioskuje, że

---

<sup>7</sup> dosłownie w stroju, który starczyłby z trudem na obicie podkładki szczudła

nabiera już pewnej prostoty w podejściu do, typowej dla ludzi, którzy wystarczająco długo kręcą się wzdłuż Broadwayu. Skutek uboczny jest taki, że John Wydębiacz, Niuch i Wtrop nie znajdują już więcej pomocnych dłoni, bo nikt w okolicy Mindiego nie przejawia zbytniego zainteresowania psami gończymi a zwłaszcza kupowaniem steków dla nich. Wkrótce wygląd posokowców z Georgii staje się smutny jak dawniej a John Wydębiacz chodzi przybity więcej niż ciut.

No i znów mamy wczesny, ciepły poranek a pewna liczba obywateli, jak całkiem zazwyczaj, stoi sobie przed restauracją Mindiego wdychając świeże powietrze, kiedy zjawia się inspektor policji a mój przyjaciel McNamara w asyście wianuszka tajniaków po cywilnemu. Inspektor McNamara oznajmia mi, że właśnie idzie badać incydent z bronią palną w kamienicy na czterdziestej czwartej zachodniej, czyli pi razy oko trzy dzielnice stąd. Nie mam nic innego do roboty toteż idę razem z gliniarzami, chociaż z zasady się z nimi nie bratam, bo to wzbudza krytyczne komentarze w moim otoczeniu społecznym.

I zgadnijcie któż to zarabia kulkę? Ano Oślizły Marvin we własnej osobie, który leży na podłodze swojego salonu w stroju wieczorowym i front koszuli cały ma we krwi. Kiedy McNamara rzuca nań fachowym okiem, stwierdza, że facet zalicza rzetelne kropnięcie w pierś i wydaje się być martwy na cacy. Gorsza strona kryminału jest taka, że nie ma żadnej wskazówki, kto strzela. McNamara mówi, że sprawa jest tajemnicza jak cholera, ale gazety znajdują rozwiązanie raz dwa, zwłaszcza że porządnej trup sensacji nie publikują od dawna.

Cała ta sprawa nie dotyczy mojej osoby, nagle jednak przechodzą mi przez myśl John Wydębiacz i jego gończe psy. Przecież to może być wielka szansa dla nich! Mówię zatem:

— Słuchaj, Mac, jest na mieście człowiek, który ma parę posokowców z Georgii, no wiesz, gończych psów do tropienia ludzi. Oni są świetni w rozwiązywaniu takich zagwozdek, jak ta. Może zdołają wyniuchać drania, który pakuje Oślizłemu Marvinowi pestkę. Pomyśl sam: trop musi być świeższy, niż te przysłowiowe bułeczki.

Dopiero później wychodzi w praniu, że mój pomysł oburza wielu ludzi, panuje bowiem dość zgodna opinia obywatelska, że w tym konkretnym przypadku sprawca zasługuje na większe względy, niż tropienie psami. Ba, niektórzy chcą przyznać strzelcowi medal, ale, jak mówię, cała ta dyskusja się toczy, kiedy jest już po wszystkim.

W pierwszej chwili inspektor McNamara przepuszcza pomysł mimo uszu. Inni gliniarze też są bardzo sceptyczni i twierdzą, że w zaistniałych okolicznościach najlepiej będzie zgarnąć wszystkich w zasięgu wzroku i zapuszkować na miesiąc czy dłużej jako świadków przestępstwa. Problem polega jednak na tym, że dookoła nie ma kogo zgarniać — no, może poza mną, ale inspektor nie jest głupi i koniec końców mówi: dobra, sprowadź te psy.

Biegnę więc z powrotem pod Mindiego. John Wydębiacz, Niuch i Wtrop, rzecz jasna, już stoją na pobliskim chodniku i wpatrują się w twarz każdego przechodnia, licząc że okaże się ona twarzą Lamenta. Wygląda to naprawdę żałośnie i żałośliwie, ale John uśmiecha się, kiedy objaśniam mu sprawę Oślizłego Marvina i razem wracamy do mieszkania denata — przy czym tempo John nadaje takie, że szyja Niucha wydłuża się

o dobrą stopę a ciągnięty na smyczy Wtrop połowę dystansu pokonuje szorując brzuchem po ziemi.

Już na miejscu zbrodni John Wydębiacz podprowadza Niucha i Wtrota do Oślizłego Marvina. Psy obwąchują go wzdłuż i wszerz, bo jako posokowce najwyraźniej są przyzwyczajone do zwłok. Potem John odpina im smycze i wykrzykuje jakąś komendę. Psy zaczynają węszyć po całym mieszkaniu, czemu inspektor McNamara i pozostali gliniarze przyglądają się z wielkim zainteresowaniem. Nagle Niuch i Wtrop wybiegają za drzwi i dalej — na ulicę. John Wydębiacz pędzi za nimi a wszyscy pozostali — za Wydębiaczem. Psy przecinają czterdziestą czwartą, kierują się na Broadway i ani się spostrzegamy, jak obmacują węchem okolice drzwi wejściowych u Mindiego.

Następnie ciągną w górę Broadwayu z nosami przy chodniku a my idziemy za nimi i to bardzo podekscytowani, bo teraz nawet gliniarze przyznają, że widać pieski muszą być na świeżym tropie zabójcy Oślizłego Marvina. Z początku Niuch i Wtrop nie spieszą się jakoś przesadnie, ale dosyć szybko włączają drugi bieg i my — znaczy się Wydębiacz, ja, inspektor i gliniarze — też zaczynamy posuwać się naprzód susami.

Nasz widok przyciąga, oczywiście, ździebko uwagi u mijanych ludzi, którzy są na nogach o tak wczesnej godzinie. Z każdym następnym jardem coraz więcej mleczarzy schodzi z wózków, chłopcy ze służb oczyszczania zostawiają śmieciarki luzem, a roznosiciele gazet rzucają cały swój interes i dołączają do pościgu. Na skrzyżowaniu Broadwayu z pięćdziesiątą szóstą za Johnem Wydębiaczem i jego psami gończymi podąża już spory oddział. John od czasu do czasu krzyczy na psy:

— Trzymać trop, chłopaki!

Na pięćdziesiątej szóstej Niuch i Wtrop skręcają z Broadwayu na wschód i zatrzymują się przed wejściem do budynku, który wygląda na stary garaż. Drzwi są szczelnie zamknięte, ale że posokowce coś bardzo chcą dostać się do środka, inspektor i gliniarze kopniakiem wywalają je z zawiasów. Na światło dzienne zaraz wychodzi szachrajnia i wielu znanych obywateli Broadwayu z dymiącymi kośćmi w rękę, którzy są niesłychanie zaskoczeni widokiem gończych psów, nas a zwłaszcza gliniarzy. Wszyscy naraz zaczynają czmychać każdą dostępną szczeliną, bo gra w kości w naszym mieście jest legalna ciut mniej niż całkiem.

Ale inspektor McNamara mówi tylko “no tak” i zaczyna spisywać delikwentów w kajeciku służbowym, całkiem jak sprawy, które mogą sobie poczekać. Poza tym Niuch i Wtrop wybiegają z garażu jeszcze szybciej niż tam wchodzą, i ciągną za tropem dalej wzdłuż pięćdziesiątej szóstej. Na tej trasie robią sobie jeszcze cztery przystanki przed różnymi drzwiami, ale za nimi pod gliniarskim butem odkrywają się tylko szemranki; co prawda jedna z tych szemranek to palarnia opium. Klienci zdybani na miejscu są bardzo poirytowani całym zamieszaniem, zwłaszcza kiedy inspektor wszystko wpisuje w kajet.

Rezultat jest taki, że McNamara zaczyna bardzo drapieźnie patrzeć na swoich przybocznych gliniarzy. Każdy dokoła widzi, że bardzo jest wkurzony ilością występku, który się pleni w dystrykcie i teraz wypływa na wierzch. Gliniarze ze swej strony zaczynają dość otwarcie nienawidzić Niucha i Wtrota, a jeden odzywa się do mnie w ten deseń:

— Nie no, stary, the kundle to jakieś zapchlone kapusie.

Jak się łatwo domyślić, wrzaski Wydębiacza plus terkot-trajkot tłumu podążającego za psami robią niezły rozgardiasz i budzą mnóstwo ludzi w bocznych ulicach, gdzie większość wszystkich mieszkań i hoteli ma pootwierane okna, gdyż ostatnimi czasy jest lato.

I powiem wam, masa rozczochranych głów wysuwa się z okien, a faceci i łanie pytają z góry:

— Hej, co jest grane?!

Podobno kiedy wieść o psach tropiących złoczyńcę idzie w okolice, duży popłoch przetacza się przez cały kwartał i potem dochodzą mnie słuchy, że trzech nieszczęśników trafia do polikliniki z ogólnymi potłuczeniami i rozwalonym stawem zeskokowym, gdyż na widok naszego pościgu opuszczają hotele przez okna albo schody pożarowe.

Ale dygresjom mówimy nie: otóż ni z tego ni z owego Niuch i Wtrop zawracają na Siódmą Aleję, wpadają do małego bloku mieszkalnego i omal schodów nie zedrą biegnąc na pierwsze piętro. Kiedy je doganiamy, energicznie drapią w drzwi lokalu B-2 i zaczynają hau-hauasować więc wszyscy czujemy podniecenie co będzie. Drzwi się jednak otwierają i staje w nich sama Maud Milligan, pełniąca wszem i wobec rolę kochającej łani Zwalistego Niga — tego szulera od kości, który akurat udaje się do Hot Springs i tam zażywa wód albo innych rzeczy, których faceci zażywają w Hot Springs.

Musicie wiedzieć, że Maud Milligan to taka ruda raszpla, od której chcę się trzymać bardzo z daleka. Baba ewidentnie zamierza rzucić kłątwe na tych spośród nas, których imiona przypadkiem zna, ale, ku mojej wielkiej uldze, Niuch i Wtrop tylko przebiegają przez salon i łóżko w jej dwupokojowym mieszkanku. Zanim wypowiesz sio a kysz już są na schodach i na Siódmej Alei a my za nimi; inspektor McNamara nie przestaje zapełniać swojego kajeciku notatkami.

Zapytacie może, gdzie psy gończe zmierzają z tymi czterema setkami głęboko dyszących obywateli na ogonach? Otóż do klubu *Trzy Setki* Missouri Martin. Przed jego drzwiami stoi furtian, niejaki Żołnierzyk Sweeney<sup>8</sup>. Ten stara się zatrzymać psy gestem stosowanym do odpędzania komarów, ale Niuch wplątuje mu się między nogi, wskutek czego Sweeney pada plackiem, a Wtrop przebiega po nieszczęśniku, wgniatając mu przy tym łapę w oczodół. Gromadka obywateli, która podąża za psami, także w większości depcze po Żołnierzyku, który wychodzi ze zdarzenia mocno przyplaszczony.

Niuch i Wtrop są teraz rozgorączkowane więcej niż ciut i po wparowaniu do środka *Trzech Setek* razem z Johnem Wydębiaczem, ramieniem sprawiedliwości i całym ogonem ludzkim zaczynają głośno szczeakać wuuuu-hau, wuuuu-hau<sup>9</sup>. Klub pęka w szwach nawet bez udziału naszej grupy, a Missouri Martin właśnie kuca za oparciem krzesła pośrodku parkietu, gotowa rozpocząć swój występ. Kiedy Missouri dostrzeżga

---

<sup>8</sup> Soldier Sweeney

<sup>9</sup> W oryginale zoople-zoople czyli odgłos wydawany przez podeksycytowanego psa. Mój ekwiwalent jest nader subiektywną próbą oddania dźwięku, jaki wydaje pies bardzo chcący się bawić.

wlewający się z ulicy tłum, jest nader zadowolona, bo myśli, że to nowa fala klientów, czyli zjawisko, które kocha najbardziej w świecie.

Ale zanim zdąży powiedzieć witajcie frajerzy czy w ogóle cokolwiek Niuch nurkuje pod jej krzesło, najwyraźniej myśląc, że jest jamnikiem. Missouri Martin pada na parkiet i tam zalega, wydając z siebie donośne ptasie skrzeki. Zanim ktokolwiek ma czas pomyśleć, oba posokowce są już w rogu pomieszczenia i obskakują tłustego faceta, który siedzi tam w towarzystwie jakiejś łani — facetem jest, no nie zgadniecie, Lament.

Kiedy Niuch i Wtrop biegną w kierunku Lamenta, ten odruchowo wstaje, żeby się osłonić. Oba psy wpadają jednak na niego równocześnie, tak że przewraca się i ląduje na łani obok, czyli pannie Lovey Lou. Panna Lovey Lou zostaje przygnieciona tuszą spoczywającego na niej Lamenta i ciut krzyczy, zwłaszcza gdy Niuch wysuwa ózór niemal do oporu i próbuje wylizać Lamenta, przy okazji ścierając jej makijaż z twarzy. Dziwna sprawa, Lovey Lou wydaje się bardziej bać psów niż zgniecenia na śmierć. Otóż kiedy John Wydębiacz i ja przyskakujemy, żeby ją ratować i wyciągnąć spod Lamenta, jęczy:

— Chryste, przyznam się, tylko zabierzcie te bestie!

Ponieważ wszyscy inni są zajęci rozdzielaniem Lamenta i psów, ów zduszony jęk słyszymy bodaj tylko ja i John Wydębiacz; ten ostatni nie ma jednak bladego pojęcia, o co Lovey Lou chodzi. Wyciągam zatem Lou z tłumu i zabieram do kuchni, gdzie prawie nikogo nie ma, bo cała obsługa wybiega patrzeć na kłębowisko w rogu.

— Do czego chcesz się przyznać? — pytam — Chodzi o Oślizłego Marvina?

— Tak, o Marvina — odpowiada Lou — Pakuję świni kulę, bez żalu z mojej strony. Nie dosyć mu tego, co robi ze mną dwa lata temu. Nie, próbuje jeszcze swoich brudnych sztuczek z moją młodziutką siostrą. Zabiera ją do swojego mieszkania, a kiedy się o tym dowiaduję i przychodzę małą wydostać, mówi, że jej nie puści. Więc wyjmuję pistolet brata i strzelam. Siostrę zabieram do domu, a co do Marvina, mam nadzieję, że drań nie żyje i koledzy go biorą.

— Słuchaj uważnie — mówię — Nie powiem ci, która strona przygarnia Marvina do siebie, ale masz się stąd zaraz zabrać do domu i czekać, aż wyprostujemy całą sytuację. Ja wracam pomóc Lamentowi, który jest w niezłych opałach.

— Oh, tylko nie pozwól tym okropnym psiskom go zjeść! — stwierdza Lou i oddala się z wiatrem. Wracam do sali tanecznej. Panuje tam dość okropne zamieszanie, jako że Lament jest wściekły na Niucha i Wtropa, zwłaszcza kiedy spostrzega wielki, brudny odcisk psiej łapy na froncie swojej koszuli. Wreszcie udaje mu się stanąć na nogi i przystępuje do torowania sobie drogi wymachami rąk. I powiem wam, niezły z niego puncher jak na amatora.

Naprawdę, rozkłada Niucha prawym prostym w szczękę, a Wtropa posyła wzdłuż sali lewym sierpem.

Co ciekawe, biedny Wtrop mknie po śliskim parkiecie w kierunku Missouri Martin, która właśnie zbiera się z podłogi. Pies przewraca ją niczym kula kręgle, lecz tym razem Missouri jest już wpieniona, toteż wstaje i wymierza zwierzęciu bardzo niekobiecego kopniaka. Wtrop oczywiście nie wie zbyt dużo na temat panny Martin, jest jednak



pewien więcej niż ciut, że jego stary kumpel Lament tylko się z nim bawi. Wraca więc do Lamenta z wywieszonym ozorem i merdając ogonem. Diabli wiedzą, jak to się jeszcze może potoczyć, ale tu John Wydębiacz łapie oba psy a inspektor McNamara kładzie rękę na Lamencie, oznajmiając mu, że jest aresztowany za zabójstwo Oślizłego Marvina.

No i spójrzcie tylko: każdy od razu i oczywiście widzi, że Lament musi być winny i szlus, zwłaszcza że ten i ów przypomina sobie jego sprzeczkę z Marvinem. Na Lamenta zaczynają więc patrzeć z nieudawanym obrzydzeniem i mówić, że facet już z twarzy jest degenerat.

Powiem więcej: inspektor McNamara wygłasza do klientów Missouri Martin przemowę, w której składa gratulacje Johnowi Wydębiaczowi, Niuchowi i Wtropowi za wytropienie i ujęcie ohydneho zbrodniarza tudzież za wprowadzenie kilku cennych usprawnień w pracę wydziału policji. Podczas przemówienia Lament nie zwraca większej uwagi na jego treść, tylko usiłuje wychylić się na tyle, żeby podać obu posokowom łapę.

Następnie klienci biją brawo a Missouri Martin zbiera ponad dwie setki tyci-tycich dla Wydębiacza i jego psów gończych, nie licząc tego, co inkasuje sama. Wyłania się także szef kuchni, który zabiera Niucha, Wtropa i ich pana na zaplecze i napycha całą trójkę jedzeniem. Ja osobiście nie tykam tak bezkrytycznie potraw serwowanych w *Trzech Setkach*.

Lamenta wsadzają do kojca. On zdaje się nie rozumie, za co siedzi, wie jednak, że ma to jakiś związek z Niuchem i Wtropem. Dlatego próbuje przekupić jednego gliniarza i za łapówkę sprowadzić na chwilę psy do swojej celi. Oczywiście gliniarz nie chce o niczym takim słyszeć.

Podczas gdy Lament wypoczywa na koszt podatników, zaczynają krążyć plotki, że Oślizły Marvin jednak nie schodzi z tego świata i są nawet widoki, że odzyska zdrowie. Kiedy to mu się istotnie udaje, robi się jeszcze ciekawiej, gdyż wpłaca kaucję za Lamenta i nie tylko nie chce wnosić przeciw niemu oskarżenia, ale przedziutko wynosi się z kraju. Co prawda Lament spędza w klasztoru kilka tygodni i nigdy nie puszcza pary z ust, że to nie on nadziewa Oślizłego Marvina, mimo że w końcu dowiaduje się, jak sprawa naprawdę wygląda. Oczywiście panna Lovey Lou jest Lamentowi dożgonnie wdzięczna za tak ogromne poświęcenie i bez wątpienia w minutę zostanie jego kochającą żoną, jeśli tylko Lament się domyśli i ją o to zapyta. Ale on najwyraźniej tak długo rozmyśla nad wizją kochającej żoneczki bieglej w obsłudze gnata, że w końcu się nie domyśla.

W międzyczasie John Wydębiacz, Niuch i Wtrop robią użytek z zacieru od Missouri Martin i wracają do Georgii, otoczeni reputacją świetnych tropicielei ludzi. I tym w zasadzie kończy się ta opowieść. Dodam tylko, że pewnej nocy spotykam Lamenta z walizką w dłoni i oddychającego bardzo obficie, choć nie jest zbyt ciepło. Kiedy pytam, czy się wyprowadza, odpowiada, że taki w ogóle i szczególe ma plan, a co więcej wyprowadza się bardzo daleko stąd. Naturalną koleją pytań chcę się dowiedzieć dlaczego i wtedy Lament powiada tak:

— Widzisz, odkąd Zwalisty Nig, ten kościany szuler, wraca z Hot Springs i dowiaduje się, jak psy węższą mordercę Oślizłego Marvina, łązi w te i wewte i przygląda mi się tak jakoś niewyraźnie. Sądzę, że Nig teraz coś sobie układa w mózgownicy i chociaż on myśli wolniej niż inni, boję się, że koniec końców dojdzie do złych konkluzji.

Obawiam się, że Zwalisty Nig wpadnie akurat na tę konkluzję, o której już życzliwcy szeptają po mieście, i stwierdzi, że Niuch i Wtrop nie idą śladem strzelca, tylko moim. A wtedy może opacznie zrozumieć, dlaczego trop prowadzi pod drzwi Maud Milligan.

Tłum. Piotr Plichta

**Drogi Czytelniku, dokonując wpłaty na cele statutowe Fundacji umożliwiasz zakup do polskich bibliotek nowych książek. Ostateczną listę zamówionych przez nas pozycji współtworzą studenci i pracownicy naukowcy. Kupujemy książki obcojęzyczne, najczęściej specjalistyczne, drogie i trudno dostępne w bibliotekach. Dzięki temu wielu studentów i pracowników naukowych mogło napisać ciekawsze prace dyplomowe i poszerzyć swoje horyzonty.**

**I ty możesz skorzystać z książek, które już przekazaliśmy bibliotekom. Ich aktualną listę i lokalizację znajdziesz w zakładce „przekazane książki” na stronie [www.fundacjaalbedo.pl](http://www.fundacjaalbedo.pl)**

**Nawet drobne datki bardzo pomagają nam w naszej misji.  
Dziękujemy za każdą przekazaną nam złotówkę!**



**FUNDACJA  
ALBEDO**

**KUPUJEMY SPECJALISTYCZNE KSIĄŻKI  
DLA POLSKICH BIBLIOTEK**